

Rozmowa ojca z dziećmi



DENIS DIDEROT

TO NIE BAJKA...

Rozmowa ojca z dziećmi

ALBO O NIEBEZPIECZEŃSTWIE STAWIANIA SIĘ WYŻEJ PRAW

TŁUM. TADEUSZ BOY-ŻELEŃSKI

(ogłoszone drukiem w roku 1773)

Mój ojciec¹, człowiek bardzo roztropny, ale zarazem i bardzo pobożny, głośny był w okolicy dla swej nieskazitelnej uczciwości. Niejeden raz współobywatele wybierali go na rozjemcę; ludzie obcy, których zgoła nie znał, powierzali mu wykonanie swej ostatniej woli. Skoro umarł, ubodzy oplakiwali jego stratę. Podczas choroby wielcy i mali okazali, jak bardzo im zależy na jego ocaleniu. Skoro stało się pewne, iż zbliża się do końca, całe miasto okryło się smutkiem. Obraz jego będzie zawsze obecny mej pamięci; zdaje mi się, że go widzę w fotelu z poręczami, w zwyczajnej spokojnej postawie i z pogodną twarzą. Zdaje mi się, że go słyszę jeszcze. Oto obraz jednego z naszych wieczorów i przykład, jak nam upływały inne.

Było to w zimie. Siedzieliśmy dokoła niego przy ogniu, ksiądz, siostra i ja. Rozmowa toczyła się o utrapieniach sławy; w konkluzji ojciec rzekł:

— Mój synu, obaj narobiliśmy dużo hałasu w świecie; z tą różnicą, że hałas, który ty robiłeś swoim narzędziem, odejmował spokój tobie; hałas zaś, jaki ja robiłem moim, odejmował spokój innym.

Po tym niewybrednym koncepcie stary kowal zadumał się, wodząc po nas okiem ze szczególną bacnością², aż proboszcz rzekł:

— O czym dumasz, ojczu?

— Myślę sobie — odparł — iż reputacja zacnego człowieka, najbardziej pożądana ze wszystkich, ma swoje niebezpieczeństwa nawet dla tego, kto na nią zasługuje. — Następnie po krótkiej pauzie dodał: — Drzę jeszcze, kiedy pomyślę o tym... Czy uwierzylibyście, dzieci? Raz w życiu omal nie wtrąciłem was w ruinę; tak jest, omal nie zrujnowałem was bez ratunku.

KSIĄDZ: A to jak?

OJCIEC: Jak? Zaraz... Nim zacznę (rzekł do córki), podnieś mi, siostrzyczko, poduszkę, która opadła za nisko; a ty (zwrócił się do mnie) załóż mi poły szlafroka, ogień parzy mi nogi. Znaliście wszyscy proboszcza z Thivet³?

¹Mój ojciec... — czytamy w „Correspondance littéraire” Grimma, z marca 1771: „P. Diderot, majster nożowniczy w Langres, umarł w r. 1759, powszechnie oplakiwany w mieście, zostawiając dzieciom przyzwoity jak na swój stan mająteczek oraz sławę uczciwości i cnoty pożądaną dla każdego stanu. Widziałem go na trzy miesiące przed śmiercią. Udając się do Genewy, w marcu 1759, skierowałem się umyślnie przez Langres i całe życie będę rad, że poznałem tego czcigodnego starca. Zostawił troje dzieci: starszego syna, Dionizego Diderot, urodzonego w 1713; to właśnie nasz filozof; córkę, osobę o wybornym sercu i niepospolitej sile charakteru, która od śmierci matki poświęciła się wyłącznie staraniom o ojca i dom i z tej przyczyny odrzuciła propozycje małżeństwa; wreszcie młodszego syna, który obrał stan duchowny: jest kanonikiem katedralnym w Langres, jednym z najświętobliwszych ludzi w diecezji. Jest to człowiek o dziwnym kroju umysłu, krańcowej pobożności i jak sądzę, nieodznaczający się zbytnią miarą w poglądach i uczuciach. Ojciec kochał starszego syna z sympatii i z serca; córkę — z wdzięczności i czułości; młodszego syna — z wyrozumowania, przez szacunek dla jego stanu. Wyjaśnienia te zdały mi się potrzebne przed odczytaniem niniejszego utworu”. [przypis tłumacza]

²bacność — uwaga, czujność. [przypis edytorski]

³Thivet — miejscowość w pfn.-wsch. Francji, w departamencie Górna Marna. [przypis edytorski]

SIOSTRA: Zaczęło starego księżynę, który w setnym roku życia robił jeszcze cztery mile⁴ w ciągu ranka?

KSIĄDZ: Ten co umarł, mając sto jeden lat, na wiadomość o śmierci brata, który mieszkał z nim razem i liczył ich sobie dziewięćdziesiąt dziewięć?

OJCIEC: Ten sam.

KSIĄDZ: I cóż?

OJCIEC: Otóż spadkobiercy jego, ludzie ubodzy i żyjący po gościńcach, po wsiach, u bram kościołów, gdzie zebrali na życie, przesłali mi pełnomocnictwo, które upoważniało mnie, abym się udał na miejsce i objął tymczasowo w posiadanie cały inwentarz. Jak odmówić biedakom usługi, którą oddałem wielu zamożnym rodzinom? Pośpieszyłem do Thivet, zgłosiłem się do władz; kazałem przyłożyć pieczęcie i oczekiwałem spadkobierców. Zjawili się niebawem; było ich jakich dziesięciu lub dwunastu. Kobiety, bez pończoch, bez trzewików, prawie bez odzieży, trzymały na łonie dzieci otulone w dziurawe fartuchy; starcy, okryci łachmanami, dowlekli się, niosąc na ramionach, na kij, garść łachów zawiniętych w inny łach; słowem, obraz najohydniejszej nędzy. Wyobraźcie sobie zatem radość tych spadkobierców na myśl o jakim dziesiątku tysięcy franków⁵, który przypadał na każdego z nich, ile że wedle sąsiedzkich gadek spadek po proboszczu mógł wynosić dobre sto tysięcy. Zdjęto pieczęcie. Param się cały dzień spisaniem inwentarza. Zapada noc. Biedacy rozchodzą się; zostaję sam. Pilno mi było oddać każdemu jego część, odprawić ich i wrócić do swych zajęć. Była tam pod biurkiem stara walizka, bez pokrywy, wypełniona przeróżnymi papierami; ot, stare listy, bruliony, odwieczne kwity, rachunki i inne świstki; ale w podobnym wypadku należy czytać wszystko, nie zaniedbać niczego. Dobijałem do końca nudnego przeglądu, kiedy wpadło mi w ręce dość obszerne pismo; a to pismo, wiecie, co to było!? Testament podpisany ręką proboszcza! Testament, którego data była tak dawna, iż ci, których mianował wykonawcami, nie żyli już od dwudziestu lat! Testament, w którym odprawiał z niczym biedaków koczujących dokoła mnie, generalnymi zaś spadkobiercami czynił Freminów, bogatych księgarzy z Paryża, których musisz znać. Możecie sobie wyobrazić moje zdumienie i boleść; cóż bowiem począć z tym aktem? Spalić go? Czemu nie? Czyż wszystko nie czyniło go bezwartościowym? I miejsce, gdzie go znalazłem, i papiery, między które był zamieszany, czyż nie świadczyły dość silnie przeciw niemu, nawet bez jego krzyczącej niesprawiedliwości? Tak powiadałem sobie w duchu; wyobrażając sobie równocześnie rozpacz odartych ze swych nadziei biedaków, zbliżałem pomalutku testament do ognia; i znowu oblegały mnie inne myśli... Ogarniał mnie jakiś lęk, iż mogę się omylić w rozstrzygnięciu tak ważnego wypadku; nieufność do własnego rozumu; obawa, iż słucham raczej głosu współczucia, krzyczącego w głębi serca, niż głosu sprawiedliwości... Tak spędziłem noc, zastanawiając się nad tym niesprawiedliwym dokumentem, który trzymałem kilkakrotnie tuż nad ogniem, niepewny, czy go spalę czy nie. Przeważało to ostatnie; minuta wcześniej lub później — stałoby się przeciwnie. W tej rozterce ducha uznałem, iż najroztropniej będzie zasięgnąć rady jakiej światłej osoby. Siadam o świcie na koń, pędzę cwałem ku miastu; mijam, nie zatrzymując się, drzwi swego domu. Zsiadam z konia przed seminarium oratorian⁶, między którymi jeden wyróżniał się bystrością sądu i świętością obyczajów: to ojciec Bouin, który zostawił w diecezji sławę największego kazuisty⁷.

Kiedy ojciec doszedł do tego punktu, wszedł doktor Bissei: był to lekarz i przyjaciel domu. Zapytał o zdrowie ojca, zmacał puls, coś dodał, coś ujął w diecie, wziął krzesło i zaczął gwarzyć z nami.

Ojciec spytał doktora o kilku chorych, między innymi o starego hultaja, intendenta u niejakiego pana de La Mesangere, eks-mera⁸ w naszym miasteczku. Intendent ten wprowadził największy nieład w interesy swego pana, zaciągnął fałszywe pożyczki pod

⁴*mila* — dawna miara odległości o różnej wartości; mila francuska (*lieue*) była równa ok. 4 km. [przypis edytorski]

⁵*frank* — dawna francuska jednostka monetarna. [przypis edytorski]

⁶*oratorianie* — katolickie stowarzyszenie osób duchownych lub świeckich, w którym nie ma obowiązku składania ślubów zakonnych, założone w XVI w. przez Filipa Neri. [przypis edytorski]

⁷*kazuista* — człowiek stosujący *kazuistykę*: drobiazgowo rozważanie szczegółowych problemów, najczęściej moralnych lub prawnych, poprzez podciąganie ich pod zasady ogólne, pot.: pokrętne argumentowanie w celu uzasadnienia założonej z góry tezy. [przypis edytorski]

⁸*mer* — przewodniczący rady miejskiej lub gminnej we Francji. [przypis edytorski]

jego imieniem, usunął ważne dokumenty, przywłaszczył sobie kapitały, popełnił mnóstwo łajdactw, z których większość dowodnie stwierdzono, i znajdował się w przededniu skazania na hańbiącą karę, o ile nie na gardło. Sprawa ta zaprzętała wówczas całą okolicę. Doktor orzekł, iż więzień ma się bardzo lichy, nie tracił jednak nadziei, iż uda się go ocalić.

OJCIEC: To by znaczyło oddać mu bardzo złą przysługę.

JA: I spełnić bardzo zły uczynek.

DOKTOR BISSEI: Zły uczynek?... Czemuż to, jeśli łaska?

JA: Tyłu jest niegodziwych ludzi na świecie, iż nie trzeba zatrzymywać tych, którzy mają ochotę się wynosić.

DOKTOR BISSEI: Moją rzeczą jest leczyć, nie sądzić; ulecę go, ponieważ to mój zawód; następnie sędzia każe go powiesić, bo to jego zawód.

JA: Tak, doktorze, ale istnieje obowiązek wspólny wszelkiemu dobremu obywatelowi, panu, mnie, to znaczy pracować ze wszystkich sił dla dobra rzeczy publicznej; a zdaje mi się, że nie jest dla niej korzyścią ocalenie złoczyńcy, od którego bezzwłocznie prawa ją oswobodzą.

DOKTOR BISSEI: A któż ma prawo uznać go za złoczyńcę? Czy ja?

JA: Nie, jego uczynki.

DOKTOR BISSEI: A komuż przynależy sądzić te uczynki? Mnie?

JA: Nie; ale pozwól, doktorze, bym odmienił nieco zagadnienie, przypuszczając, iż chodzi o człowieka, którego zbrodnie stwierdzone są publicznie. Wzywają pana; przybywasz, odsłaniasz franki i poznajesz Cartouche'a albo Niveta⁹. Czy ratowałbyś Cartouche'a albo Niveta?

Po chwili niepewności doktor Bissei odpowiedział stanowczo, że tak; zapomniałby nazwiska chorego, aby się zająć jedynie chorobą; jest to jedyna rzecz, którą wolno mu mieć na względzie. Gdyby uczynił krok poza te granice, niebawem nie wiedziałby, gdzie się zatrzymać; gdyby skreślenie recepty miała poprzedzać ocena życia i obyczajów chorego, znaczyłoby to zdawać życie ludzkie na łaskę niewiedzy, namiętności, uprzedzeń.

— To samo, co pan mówisz o Nivecie, jansenista¹⁰ powie mi o moliniście¹¹, katolik o protestancie, Jeśli mnie pan oddalisz od łoża Cartouche'a, fanatyk oddali mnie od łożka niedowiarka. Dość już mamy trudu z dawkowaniem lekarstw, aby sobie przydawać jeszcze trud dawkowania stopnia niegodziwości, który pozwala lub wzbrania je stosować...

— Ale, doktorze — odparłem — jeżeli po twojej pięknej kuracji pierwszym użytkiem, jaki złoczyńca uczyni ze zdrowia, będzie to, iż zamorduje twego przyjaciela, cóż powiesz? Połóż rękę na sumieniu; nie będziesz żałował, że go uleczyłeś? Nie wykrzykniesz z goryczą: „Po co spieszyłem z pomocą?! Czemuż nie dałem mu umrzeć?” Czy to nie może ci zatruć reszty życia?

DOKTOR BISSEI: Zapewne, iż będę czuł żal; ale nie wyrzuty.

JA: A jakież mógłbyś pan mieć wyrzuty, nie mówię, żeś zabił, nie o to bowiem chodzi, ale żeś pozwolił zginąć wściekłemu psu? Doktorze, posłuchaj mnie. Jestem odważniejszy od pana; nie dam się okiełzać naszym rozumowaniom. Jestem lekarzem. Przyglądam się choremu; patrząc nań, poznaję zbrodniarza i powiadam mu wręcz: „Nieszczęśliwy, umieraj co rychlej; oto co możesz uczynić najlepszego dla bliźnich i dla siebie. Wiem dobrze, co trzeba by zalecić, aby odjąć klucie w boku, które cię nęka, ale ani mi to w głowie; nie życzę tak źle mym ziomkom, aby cię wysyłać na nowo między nich i gotować sobie samemu wiekuiście zgrzyzotę na myśl o twoich nowych zbrodniach. Nie będę twoim współnikiem. Ukarano by tego, kto by cię ukrywał w domu: i ja miałbym rozgrzeszać z winy kogoś, kto by cię ocalił?! To być nie może. Jeżeli czego żałuję, to tego, iż wydając cię śmierci, wydzieram cię zasłużonym męczarniom. Nie będę się bawił w ratowanie

Lekarz

⁹Cartouche, Nivet — głośni ówczesni zbrodniarze. [przypis tłumacza]

¹⁰jansenista — zwolennik jansenizmu: ruchu teologiczno-duchowego w Kościele katolickim, funkcjonującego we Francji w XVII–XVIII w., zapoczątkowanego przez biskupa Kornela Ottona Jansena (1585–1638), inspirowanego pesymistyczną koncepcją natury ludzkiej i koncentrującego się na znaczeniu Bożej łaski. [przypis edytorski]

¹¹molinista — zwolennik molinizmu: koncepcji teologicznych hiszpańskiego jezuitę, Ludwika Moliny (1535–1600) na temat relacji pomiędzy wolną wola a Bożą łaską, propagowanych przez francuskich jezuitów; w obronę jansenizmu i polemikę przeciw zwalczającym ich molinistom zaangażował się m.in. Blaise Pascal, pisząc *Provincjałki*. [przypis edytorski]

zbrodniarza, skoro naturalna sprawiedliwość, dobro społeczne, bezpieczeństwo bliźnich nakazują mi wydać go władzom. Umieraj: nie będzie powiedziane, iż dzięki mej sztuce i staraniom istnieje jeden potwór więcej”.

DOKTOR BISSEI: Dobranoc, ojczulku. Ale, ale: mniej kawy po obiedzie, słyszy pan.

OJCIEC: Ach, doktorze, to taka dobra rzecz!

DOKTOR BISSEI: Przynajmniej dużo, dużo cukru.

SIOSTRA: Ale, doktorze, czy cukier nie rozgrzewa za nadto?

DOKTOR BISSEI: Baśnie! Bywaj pan zdrów, filozofie.

JA: Doktorze, jeszcze chwilę. Galen¹², który żył za Marka Aurelego¹³ i który z pewnością nie był lada jakim człowiekiem, mimo iż wierzył w sny, amulety i uroki, powiada tak o swoich sposobach chronienia noworodków: „Przeznaczam je dla Greków, Rzymian, dla wszystkich tych, którzy wstępują w ich ślady na drodze wiedzy. Co się tyczy Germanów i innych barbarzyńców, są ich niegodni na równi z niedźwiedziami, dzikami, lwami i innymi leśnymi bestiami”¹⁴.

DOKTOR BISSEI: Znałem ten ustęp. Jesteście obaj w błędzie: Galen, iż wygłosił swą niedorzeczną sentencję, pan, iż czynisz z niej autorytet. Nie istniałbyś pan ani pańska pochwała czy krytyka Galena, gdyby natura nie posiadała własnych sekretów dla chronienia dzieci Germanów.

JA: W czasie ostatniej zarazy w Marsylii...¹⁵

DOKTOR BISSEI: Śpiesz się pan, bo mi pilno.

JA: Złoczyńcy grasowali po domach, rabując, zabijając, korzystając z powszechnego bezładu, aby się wzbogacić za pomocą wszelkich niegodziwości. Jednego ze złoczyńców dotknęła zaraza; grabarz, któremu policja poleciła uprzątnięcie trupów, poznał go. Spogląda na zbrodniarza i rzecze: „Ha, nędzniku, to ty”; zarazem chwyta go za nogi i wlecze do okna. Próżno zbrodniarz krzyczy: „Nie jestem umarły”. Tamten odpowiada: „Dość jesteś umarły” i rzuca go błyskawicznie z trzeciego piętra. Doktorze, wiedz, iż grabarz, który tak sprawnie dokończył zadżumionego łajdaka, mniej jest winny w mych oczach niż zdany lekarz, który by go uleczył; i bądź pan zdrów.

DOKTOR: Drogi filozofie, zawsze gotów jestem podziwiać twój zapał i wymowę, ale twoich zasad moralnych nie przejmę nigdy ani ksiądz dobrodziej też nie, założę się.

KSIĄDZ: Zakłada się pan na pewne.

Miałem się wziąć do księdza; ale ojciec, zwracając się do mnie z uśmiechem, rzekł:

— Przemawiasz przeciw własnej sprawie.

JA: A to jak?

OJCIEC: Pragniesz śmierci tego hultaja, intendenta pana de La Mesangere, nieprawdaż? Pozwólże tedy działać doktorowi. Mruczysz coś pod nosem?

JA: Mówię, że nigdy Bissei nie zasłuży na napis, jaki Rzymianie po śmierci Hadriana VI¹⁶ pomieścili nad drzwiami lekarza: „Oswobodzicielowi Ojczyzny”!

SIOSTRA: I gdyby był lekarzem Mazarina¹⁷, nie byłby, jak Guenaut¹⁸, dał przyczyny do odezwania się woźniców po śmierci ministra: „Kamraci, przepuśćmy pana doktora, to on wyświadczył nam tę łaskę, iż zgładził kardynała”.

Ojciec uśmiechnął się i rzekł:

¹²Galen, właśc. *Claudius Galenus* (ok. 130–ok. 200 n.e.) — wybitny rzymski lekarz i anatom pochodzenia greckiego; filozof; wywarł ogromny wpływ na rozwój anatomii, fizjologii i farmakologii; autorytet medycyny średniowiecza i odrodzenia. [przypis edytorski]

¹³Mark Aureliusz (121–180) — cesarz rzymski, filozof, zwolennik stoicyzmu. [przypis edytorski]

¹⁴Przeznaczam je dla Greków (...) dla wszystkich tych, którzy wstępują w ich ślady na drodze wiedzy. Co się tyczy Germanów i innych barbarzyńców, są ich niegodni na równi z niedźwiedziami... — Galen, *De sanitate tuenda* I 10. [przypis edytorski]

¹⁵W czasie ostatniej zarazy w Marsylii — w czerwcu 1720 wybuchła w portowej Marsylii epidemia dżumy, zawleczonej z Bliskiego Wschodu wskutek złamania procedur kwarantanny; w ciągu 3 lat jej ofiarą padła połowa mieszkańców miasta i jedna czwarta ludności Prowansji. [przypis edytorski]

¹⁶Hadrian VI, właśc. *Adriaan Florenszoon Boeyens* (1459–1523) — papież od 1522, z pochodzenia Holender; usiłował przeprowadzić reformy w Kościele. [przypis edytorski]

¹⁷Mazarin, Jules, właśc. *Giulio Raimondo Mazzarini* (1602–1661) — francuski kardynał pochodzenia włoskiego, od 1642 pierwszy minister Francji; reformator Francji, którą faktycznie rządził w zastępstwie małoletniego Ludwika XIV. [przypis edytorski]

¹⁸Guenaut, François (1590–1657) — francuski lekarz nadworny królowej Anny Austriaczki. [przypis edytorski]

— Na czym to stanąłem?

SIOSTRA: Przybyłeś do ojca Bouin.

OJCIEC: Przedstawiam mu całą rzecz. Ojciec Bouin powiada: „Nic chwalebniejszego, drogi panie, nad uczucie litości dla tych nieszczęśliwych spadkobierców. Zniszcz pan testament, dopomóż im, zgadzam się; ale pod warunkiem, iż zwrócisz generalnemu spadkobiercy ściśle tę sumę, której go pozbawisz, ani mniej, ani więcej”. Ale czuję jakiś chłód w plecach. Doktor musiał zostawić drzwi otwarte; siostrzyczko, idź zamknąć.

SIOSTRA: Idę; ale mam nadzieję, że nie będziesz, ojczu, mówił dalej, póki nie wrócę.

OJCIEC: To się rozumie.

Siostra, która zabawiła jakiś czas, wróciła i rzekła nieco podrażniona:

— Ten wariat zawiesił na drzwiach dwie tabliczki; jedna opiewa: „Dom do sprzedania za dwadzieścia tysięcy franków lub do najęcia za tysiąc dwieście franków rocznie”; druga zaś: „Dwadzieścia tysięcy franków do wypożyczenia na rok, na sześć od sta¹⁹”.

JA: Wariat? A gdyby był tylko jeden napis, gdzie ty widzisz dwa, i gdyby napis o pożyczce był jedynie przekładem ogłoszenia najmu? Ale dajmy temu pokój i wróćmy do ojca Bouin.

OJCIEC: Ojciec Bouin dodał: „I któż pana upoważnił, abyś dawał lub odejmował sankcję aktom? Kto cię upoważnił do wykładania intencji zmarłych?”

— Ale, ojczu Bouin, a waliza?

— Kto cię upoważnił do rozstrzygania, czy testament wyrzucono z umysłu, czy też zabląkał się przez nieuwagę? Czy nigdy nie zdarzyło ci się popełnić podobnej nieuwagi i odnaleźć na dnie wiadra ważnego papieru, który rzuciłeś tam przez roztargnienie?

— Ale, ojczu Bouin, a data, a niesprawiedliwość tego aktu?...

— Kto cię upoważnił do wyrokowania o sprawiedliwości lub niesprawiedliwości aktu i kazał uważać ten zapis za nieusprawiedliwiony dar, a nie za restytucję²⁰ lub inny czyn płynący z godziwych pobudek?

— Ale, ojczu Bouin, toć²¹ są najbliżsi spadkobiercy, w nędzy, tamten zaś daleki krewny i bogacz?...

— Kto cię upoważnił do szacowania, co zmarły był winien swoim bliskim, których nie znasz zresztą?

— Ale, ojczu Bouin, ta mnogość listów od właściciela legatu²², których zmarły nawet nie raczył otworzyć!...

— Zapomniałem przytoczyć jedną okoliczność — dodał ojciec. — Mianowicie w stosie papierów, między którymi tkwił ów nieszczęsny testament, znajdowało się dwadzieścia, trzydzieści, nie wiem ile, listów od Freminów, wszystkie zapieczętowane.

— Nie ma — rzekł ojciec Bouin — ani walizy, ani daty, ani listów, ani ojca Bouin, ani „jeżeli”, ani „ale”, które by miało tu coś do gadania; nie wolno nikomu naruszać praw, wchodzić w myśl zmarłego i rozporządzać cudzym mieniem. Jeżeli Opatrzność postanowiła skarać albo prawego dziedzica, albo spadkobiercę, albo zmarłego — nie wiadomo bowiem którego z nich — przypadkowym zachowaniem tego testamentu, trzeba by tak zostało.

Po tak jasnym, tak stanowczym orzeczeniu najświatlejszego człowieka w naszym duchowieństwie zmilkłem osłupiały i drżący, myśląc w duchu, co by się ze mną, co by się z wami stało, dzieci, gdyby mi się zdarzyło spalić testament — jak to po dziesięć razy miałem pokusę uczynić — gdybym później stał się pastwą skrupułów i poszedł się radzić ojca Bouin. Byłbym zwrócił, och! byłbym zwrócił, to więcej niż pewna, i byłibyście zrujnowani.

SIOSTRA: Zatem, ojczu, trzeba ci było po tym wszystkim wrócić na plebanię i oznajmić gromadzie nędzarzy, że nic w tym domu nie należy do nich i że mogą sobie iść, jak przyszli? Z duszą tak współczującą jak twoja, ojczu, w jaki sposób zdobyłeś się na to?

¹⁹od sta (daw.) — od stu (sta: daw. D. słowa „sto”, odmienianego jak rzeczownik); dziś: procent. [przypis edytorski]

²⁰restytucja (z łac. *restitutio*: przywrócenie) — przywrócenie dawnego stanu, odtworzenie; tu: rekompensata, odszkodowanie. [przypis edytorski]

²¹toć (daw., gw.) — przecież. [przypis edytorski]

²²legat — zapisana w testamencie korzyść majątkowa dla osoby niebędącej spadkobiercą. [przypis edytorski]

OJCIEC: Dalibóg, sam nie wiem. W pierwszej chwili myślałem rzucić się z pełnomocnictwa i złożyć je w ręce adwokata; ale adwokat byłby sobie postąpił z całą ścisłością, byłby wziął i powyrzucał za kark tych biedaków, których niedoli mogłem może ulżyć. Wróciłem tedy tego samego dnia do Thivet. Moje nagłe zniknięcie i ostrożności, które podjąłem, wyjeżdżając, zaniepokoiły ich; wyraz smutku, z jakim zjawilem się z powrotem, pomnożył jeszcze ten niepokój. Mimo to zapanowałem nad sobą, maskowałem się, jak umiałem.

JA: To znaczy dość lichy.

OJCIEC: Zacząłem od tego, iż ukryłem wszystkie cenne przedmioty. Zgromadziłem w domu garść mieszkańców, którzy w razie potrzeby udzieliliby mi czynnej pomocy. Otworzyłem piwnice i spichrze, które wydałem na łup nieszczęśliwym, zachęcając, aby pili, jedli i aby podzielili między siebie wino, zboże i inne zapasy.

KSIĄDZ: Ależ, ojczel!...

OJCIEC: Wiem, to tak samo nie należało do nich jak wszystko inne.

JA: Czekażcie, księżo, przerywasz.

OJCIEC: Następnie, blady jak śmierć, chwiejąc się na nogach, otwierając usta i nie znajdując słowa, siadając, wstając, rozpoczynając zdanie i nie mogąc dokończyć, płacząc, podczas gdy ci ludzie, przerażeni, wykrzykiwali wkoło mnie: „Co takiego, drogi panie, co się stało? Co się stało?“, odparłem: „Testament, testament, który was wydziedzicza“. Tych kilka słów kosztowało mnie tyle, iż zdawało mi się, że zemdleję.

SIOSTRA: Rozumiem to.

OJCIEC: Co za scena, co za scena, moje dzieci! Dreszcz mnie przechodzi, gdy ją wspomnę. Zda mi się, że słyszę jeszcze krzyki bóleści, wściekłości, furii, wycie przekleństw... — Tu ojciec przyłożył ręce do oczu, uszu. — Te kobiety — rzekł — te kobiety, widzę je: jedne tarzały się po ziemi, wydzierały sobie włosy, darły policzki, piersi; inne toczyły pianę, chwytaly niemowlęta za nogi, gotowe, gdyby ich nie wstrzymano, strzaskać im głowę o bruk; mężczyźni chwytali, obalali, tłukli, co im popadło w ręce, grozili podpaleniem domu; inni, wyjąc, orali ziemię pazurami, jakby szukali trupa, aby go poszarpać; wśród tego zaś całego tumultu słychać było przeraźliwe krzyki dzieci, które nie wiedząc czemu, dzieliły rozpacz rodziców, czepiały się ich sukien, odtrącane przez nich nieludzko. Nie sądzę, abym kiedykolwiek podobnie cierpiał w życiu.

Wśród tego napisałem do spadkobiercy w Paryżu. Doniosłem o wszystkim i prosiłem, aby pospieszył z przybyciem, ile że to był jedyny sposób uprzedzenia jakiegoś wypadku, któremu nie w mej mocy byłoby zapobiec.

Uspokoilem nieco nieszczęśliwych nadzieją, którą sam się łudziłem w istocie; mianowicie, iż zdołam uzyskać od spadkobiercy zupełne zrzeczenie się lub też doprowadzić do korzystnego układu; po czym rozmieściłem krewniaków po najodleglejszych chatkach. Fremin przybył z Paryża; przyjrzałem mu się bystro, ujrzałem twardą fizjonomię, która nie zwiastowała nic dobrego.

JA: Wielkie czarne i gęste brwi, małe wpadnięte oczy, szerokie, nieco krzywe usta, pleć²³ smagła i zeszpecona ospą?

OJCIEC: To, to. Przebył owe sześćdziesiąt mil w niespełna trzydzieści godzin. Zacząłem od tego, iż pokazałem mu nieszczęśliwych, których sprawy miałem bronić. Stali przed nim w milczeniu; kobiety płakały; mężczyźni, wsparci na kijach, z gołą głową, gnietli w rękach czapki. Fremin, siedząc, z przymkniętymi oczami, z pochyloną głową i brodą wspartą na piersi, nie patrzył na nas. Przemówiłem jak najgoręcej; nie wiem, skąd się nam bierze wymowa w podobnych wypadkach. Wykazałem namacalnie, jak wątpliwe jest, czy ten spadek słusznie dostaje się w jego ręce; zakląłem go na jego dostatek, na nędzę, którą ma przed oczami; zdaje mi się nawet, że rzuciłem się do jego stóp; nie mogłem wydobyć ani obola²⁴. Odpowiedział, że nie wchodzi w te względy; istnieje testament; historia testamentu jest mu obojętna; woli raczej zdać się na moje postępowanie niż na moje słowa. Oburzony, rzuciłem mu klucze w nos; podniósł je, zagarnął wszystko. Wróciłem do domu tak przejęty, tak zgryziony, zmieniony, że matka wasza, która żyła jeszcze, sądziła iż zdarzyło mi się jakieś nieszczęście... Och, dzieci, cóż za człowiek ten Fremin!

²³pleć (daw.) — cera; karnacja. [przypis edytorski]

²⁴obol — staroż. drobna moneta grecka; wkładana w usta zmarłego jako oplata dla Charona, przewoźnika dusz. [przypis edytorski]

Zapadliśmy w milczeniu; każdy dumał na swój sposób nad tą osobliwą przygodą. Nadeszło kilka osób; jakiś duchowny, którego nazwiska już nie pamiętam; gruby przeor, który się lepiej znał na winie niż na zagadnieniach moralnych; jakiś prawnik, rejent²⁵ i naczelnik policji, nazwiskiem Dubois; wreszcie w chwilę później robotnik, który miał do ojca sprawę. Wprowadzono go, a z nim byłego inżyniera z miasteczka, który obecnie wycofał się z rzemiosła i uprawiał matematykę. Był on sąsiadem robotnika, robotnik zaś był z zawodu kapelusznikiem.

Wszedłszy, kapelusznik dał ojcu do zrozumienia, iż jak na to, co mu pragnie zwierzyć, zgromadzenie jest nieco za liczne. Wszyscy ruszyli się z miejsc, zostaliśmy tylko przeor, rejent, geometra i ja, kapelusznik bowiem zatrzymał nas.

— Panie Diderot — rzekł do ojca, spojrzawszy dokoła, czy nikt nie może słyszeć — uczciwość pańska i rozum sprowadziły mnie do tego domu; rad²⁶ jestem, iż zastałem tu panów, którym może nie mam zaszczytu być znany, ale których znam wszystkich. Ksiądz, prawnik, uczony, filozof i zacny człowiek! Byłby to dziwny traf, gdybym wśród tych osób tak różnego stanu, a jednak świątłych i sprawiedliwych, nie znalazł rady.

Następnie dodał:

— Przede wszystkim przyrzeknijcie mi, panowie, zachować w tajemnicy sprawę, bez względu na to, co uznam za właściwe uczynić.

Przyrzekliśmy, po czym ciągnął dalej.

— Nie mam dzieci, nie miałem ich z ostatniej żony, którą straciłem przed dwoma blisko tygodniami. Od tego czasu nie żyję po prostu; nie mogę pić, jeść, pracować, spać. Wstaję, ubieram się, wychodzę, błąkam się po mieście żarty²⁷ głęboką zgryzotą. Pielęgnowałem żonę w chorobie przez osiemnaście lat; otoczyłem ją wszystkimi staraniami, jakie ode mnie zależały i jakich wymagało jej smutne położenie. Wydatki, które dla niej poniosłem, pochłonęły owoce naszego skromnego mienia i mej pracy, zostawiły mnie pod brzemieniem długów. Znalazłem się po jej śmierci wyczerpany, znużony, zmarnowawszy młodość; byłbym wręcz w tym samym punkcie, co w chwili gdy rozpoczął rzemiosło, gdybym przestrzegał praw i oddał w ręce dalekich krewnych należną część tego, co mi żona wniosła w posagu. Miała bardzo przyzwoitą wyprawkę, rodzice bowiem, kochając córkę, uczynili dla niej wszystko, co mogli, więcej, niż mogli; ładną, porządną i obficie zaopatrzoną garderobę, która została jak nowa, nieboraczka bowiem nie miała czasu jej zużyć; prócz tego dwadzieścia tysięcy w gotowiźnie. Ledwie nieboszczka zamknęła oczy, ukryłem rzeczy i pieniądze. Panowie, znacie obecnie sprawę. Czym zrobił dobrze, czy źle? Nie czuję się spokojny w sumieniu. Mam uczucie, że jakiś głos mi powiada: „Ukradłeś, ukradłeś, oddaj, oddaj”. Co myślicie? Zważcie panowie, iż żona, odchodząc, wniosła z sobą wszystko, co zarobiłem w ciągu dwudziestu lat: nie jestem już prawie zdolny do pracy; wpadłem w długi i jeżeli zwrócę spadek, zostaje mi, nie dziś, to jutro, jedynie szpital. Mówcie, panowie, czekam waszego wyroku. Czy mam zwrócić i skończyć w szpitalu?

— Idźmy koleją, wedle godności — rzekł ojciec, skłaniając się w stronę duchownego. — Słuchamy, księżo przeorze.

— Moje dziecko — rzekł przeor do kapelusznika — nie lubię skrupułów, to robi zamęt w głowie i na nic się nie zda; może nie trzeba było brać tych pieniędzy; ale skoro wziąłeś, jestem zdania, abys je zachował.

OJCIEC: Ależ, księżo przeorze, to chyba nie wasze ostatnie słowo?

PRZEOR: Na honor, tak; nic więcej nie umiem rzec w tej sprawie.

OJCIEC: To niewiele. Słuchamy, panie rejencie.

REJENT: Mój przyjacielu, twoje położenie jest nader przykre; kto inny poradziłby ci może, abys zabezpieczył kapitał krewnym żony, iżby w razie twej śmierci nie przeszedł na twą rodzinę, i abys póki życia, korzystał z procentów. Ale istnieją prawa; prawa zaś nie przyznają ci ani dochodu, ani kapitału. Wierz mi, uczyni zadość prawom i bądź uczciwym człowiekiem; raczej szpital, jeśli tak padnie.

JA: Istnieją prawa! Jakie prawa?

OJCIEC: A pan, panie matematyku, jak rozwiążesz zagadnienie?

²⁵rejent (daw.) — notariusz. [przypis edytorski]

²⁶rad (daw.) — zadowolony; rad jestem: cieszę się. [przypis edytorski]

²⁷zarty — tu: zżerany. [przypis edytorski]

Wdowiec, Pieniądz,
Choroba, Żona, Mąż,
Prawo, Sprawiedliwość,
Kradzież, Sumienie

GEOMETRA: Mój przyjacielu, wszak powiedziałeś nam, że wzięłeś około dwudziestu tysięcy franków?

KAPELUSZNIK: Tak, panie.

GEOMETRA: A ile w przybliżeniu kosztowała cię choroba żony?

KAPELUSZNIK: Mniej więcej tę samą sumę.

GEOMETRA: A więc! Gdy kto z dwudziestu tysięcy spłaci dwadzieścia tysięcy, zostaje zero.

OJCIEC do mnie: A co powiada filozofia?

JA: Filozofia milczy, gdzie prawo jest niedorzeczne.

Ojciec uczuł, iż nie trzeba mnie przyciskać; po czym, zwracając się do kapelusznika, rzekł:

— Mój przyjacielu, przyznałeś się, iż od czasu jak zagrabiłeś spadek po żonie, straciłeś spokój. I na cóż ci się zdadzą te pieniądze, skoro odjęły ci najwyższe dobro? Pozbądź się ich co rychlej i pij, jedz, śpij, pracuj, bądź szczęśliwy w domu, jeśli zdołasz się w nim utrzymać, lub gdzie indziej, jeżeli nie zdołasz.

Kapelusznik odpowiedział:

— Nie, proszę pana, wywędruję do Genewy.

— I myślisz, że zostawisz wyrzuty sumienia tutaj?

— Nie wiem; ale wywędruję do Genewy.

— Wędruj gdzie chcesz, wszędzie odnajdziesz sumienie.

Kapelusznik odszedł: dziwna jego odpowiedź wywołała komentarze. Zgodzono się, iż oddalenie miejsca i czasu osłabia może mniej lub więcej wszystkie uczucia, wszelką świadomość, nawet świadomość zbrodni. Przeniósłszy się np. do Chin, morderca zbyt jest daleko, aby dojrzeć krwawiącego trupa, którego zostawił nad brzegiem Sekwany. Wyrzut sumienia rodzi się może nie tyle z odrazy do siebie, ile z obawy przed drugimi; nie tyle ze wstydu samego uczynku, co z hańby i kary, które by nastąpiły po nim, gdyby go odkryto. A któryż tajemny zbrodniarz czuje się tak bezpieczny, aby się mógł nie obawiać pułapki nieprzewidywanych okoliczności lub niedyskrecji niebacznego słówka? Jaką ma pewność, iż się nie zdradzi w majakach gorączki lub snu? W miejscu, gdzie spełnił zbrodnię, posłyszą go i będzie zgubiony. Otoczenie jego w Chinach nie zrozumie go.

— Moje dzieci, dni nieprawego wypełnione są lękiem²⁸. Spokój istnieje jedynie dla poczciwego człowieka. On jeden żyje i umiera bezpiecznie.

Wyczerpawszy temat, goście odeszli; brat i siostra wrócili do pokoju; podjęliśmy przerwana rozmowę, ojciec zaś rzekł:

— Bogu chwała! Otośmy znowu razem. Dobrze mi z innymi, ale z wami lepiej.

Następnie, zwracając się do mnie:

— Czemu — spytał — nie powiedziałeś kapelusznikowi swego zdania?

— Boś mi, ojcze, przeszkodził.

— Czym źle uczynił?

— Nie, ponieważ na nic dobra rada dla głupca. Jak to, czyż ten człowiek nie jest najbliższym krewnym żony? Czy mienia, które sobie zachował, nie otrzymał w posagu? Czy nie przynależy mu z najgodziwszego tytułu? Jakież jest prawo owych krewniaków?

OJCIEC: Widzisz tylko prawo, ale nie widzisz jego ducha.

JA: Widzę jak ty, ojcze, niebezpieczeństwo płynące dla kobiet, będących, jak nieraz się zdarza, przedmiotem wzdarcia i nienawiści mężów, gdyby w razie śmierci mienia żon miało stać się ich własnością. Ale cóż to znaczy dla mnie, uczciwego człowieka, który dobrze spełniłem obowiązki względem żony? Czym nie dość nieszczęśliwy, żem ją stracił? Trzebaż mnie jeszcze odzierać z puścizny?

OJCIEC: Ale jeśli uznajesz mądrość prawa, trzeba się doń stosować, o ile mi się zdaje.

SIOSTRA: Bez prawa nie ma kradzieży.

JA: Mylisz się, siostro.

BRAT: Bez prawa wszystko przynależy wszystkim: nie ma własności.

JA: Mylisz się, bracie.

BRAT: Na czymże tedy zasadza²⁹ się własność?

Prawo, Filozof

Głupiec

prawo, własność, praca

²⁸dni nieprawego wypełnione są lękiem — zdanie z *Księgi Hioba* (Hi 15,20). [przypis edytorski]

²⁹zasadzać się na czymś — opierać się na czymś, mieć w czymś podstawę. [przypis edytorski]

JA: Pierwotnie jest to objęcie w posiadanie przez pracę. Natura ustanowiła dobre prawa od wieków; społeczeństwo ubezpiecza ich wykonanie; siła ta ma wszelką moc przeciw złemu, nie ma żadnej przeciw uczciwemu człowiekowi. Jestem tym uczciwym człowiekiem i w tej okoliczności, jak w wielu innych, które bym mógł wyszczególnić, pozywam ją przed trybunał własnego serca, rozumu, sumienia, przed trybunał własnego serca, rozumu, sumienia, przed trybunał naturalnej sprawiedliwości; przesłuchuję ją, poddaję się jej lub też ją unicestwiam.

OJCIEC: Głoś te zasady po świecie, ręczę ci, że się przyjmą, i zobaczysz, jakie ładne stąd rzeczy wynikną.

JA: Nie będę ich głosił; istnieją prawdy nieprzeznaczone dla szaleńców, ale zachowam je dla siebie.

OJCIEC: Dla siebie, jako dla mądrego człowieka?

JA: Z pewnością.

OJCIEC: Wedle tego, domyślam się, że również nie pochwalisz sposobu, w jaki postąpiłem w sprawie testamentu w Thivet. A ty, księżu, co myślisz?

KSIĄDZ: Myślę, ojcze, iż roztropnie uczyniłeś, żeś się poradził ojca Bouin i żeś mu uwierzył; gdybyś poszedł za pierwszym popędem, byłibyśmy w istocie zrujnowani.

OJCIEC: A ty, wielki filozofie, nie jesteś tego zdania?

JA: Nie.

OJCIEC: To bardzo zwięzłe. Jedź dalej.

JA: Każesz, ojcze?

OJCIEC: Oczywiście.

JA: Bez ogródek?

OJCIEC: Oczywiście.

JA: Nie, z pewnością nie — odparłem z ogniem — nie jestem tego zdania. Co do mnie, myślę, iż jeżeli kiedy popełniłeś, ojcze, zły uczynek w życiu, to wtedy; iż jeżelibyś się czuł zobowiązany do restytucji wobec legatariusza³⁰ w razie zniszczenia testamentu, bardziej jeszcze miałeś ten obowiązek wobec prawych dziedziców za to, żeś tego nie uczynił.

OJCIEC: Muszę wyznać, iż ten postępek zawsze mi leżał na sercu; ale ojciec Bouin!...

JA: Ojciec Bouin, z całą sławą wiedzy i świętości, był jedynie lichym doktrynerem, bigotem³¹ o ciasnej głowie.

SIOSTRA po cichu: Czy twoim zamiarem jest zrujnować nas?

OJCIEC: Spokojnie, spokojnie! Zostawże ojca Bouin i powiedz nam swoje racje, nie wymyślając na nikogo.

JA: Moje racje? Bardzo proste; oto one. Albo testator³² chciał zniweczyć akt, który uczynił w nieczułości serca, jak wszystko zdaje się tego dowodzić, i ty udaremniłeś jego opamiętanie; albo też chciał, aby ten okrutny akt utrzymał się w mocy, i ty stałeś się współnikiem jego niesprawiedliwości.

OJCIEC: Niesprawiedliwości? To lekko powiedziane.

JA: Tak, niesprawiedliwości; wszystko bowiem, co ów ojciec Bouin ci nagadał, to jedynie czcza kazuistyka, mizerne przypuszczenia, same domysły bez wartości, bez żadnej wagi wobec warunków odejmujących wszelki charakter ważności niesprawiedliwemu aktowi, który ty wydobyłeś z kurzu, wywlokłeś na światło i wróciłeś do czci. Waliza z papierami; wśród tych papierów stary szpargał unicestwiony przez swą datę, przez swą niesprawiedliwość, przez fakt zamieszania między inne szpargały, przez śmierć egzekutorów³³, przez wzgardę listów spadkobiercy, przez bogactwo tegoż spadkobiercy i nędzę prawych dziedziców! Cóż można temu przeciwstawić? Domniemaną restytucję! Okaże się, że nieborak księżyna, który nie miał szeląga³⁴, kiedy przybył na probostwo, i który strawił osiemdziesiąt lat, aby uskładać niespełna sto tysięcy, ciulając grosz do grosza, dopuścił się niegdyś na szkodę Freminów (u których nigdy nie mieszkał i których nigdy

³⁰legatariusz — osoba niebędąca spadkobiercą, ale otrzymująca legat, tj. zapisaną w testamencie korzyść majątkową. [przypis edytorski]

³¹bigot — dewot; człowiek przywiązujący przesadną wagę do zewnętrznych form pobożności, zaniedbujący przy tym duchowość wewnętrzną i moralność. [przypis edytorski]

³²testator — spadkodawca. [przypis edytorski]

³³egzekutor — tu: wykonawca testamentu. [przypis edytorski]

³⁴szeląg — dawna drobna moneta polska z miedzi; w oryginale *sou*: drobna moneta francuska. [przypis edytorski]

może nie znał inaczej niż z nazwiska!) kradzieży stu tysięcy franków! A gdyby nawet ta mniemana kradzież była prawdą, wielkie nieszczęście!... Byłbym spalił ten akt nieprawości. Trzeba go było spalić, powiadam; trzeba było słuchać serca, które nie przestało trapić cię później; miało ono więcej rozumu niż ten głupiec Bouin, którego wyrok dowodzi jedynie groźnego ucisku religijnych przesądów na najtęższe głowy oraz zgubnego wpływu niesprawiedliwych praw, fałszywych zasad na zdrowy rozum i wrodzoną sprawiedliwość. Gdybyś, ojczu, był obecny przy tym, gdy proboszcz pisał niegodziwy testament, czyż nie byłbyś go podarł w sztuki? Los daje ci ów akt w ręce i ty go zachowujesz?

OJCIEC: A gdyby proboszcz ciebie uczynił generalnym spadkobiercą?

JA: Wstrętny akt byłby tym rychlej unicestwiony.

OJCIEC: Nie wątpię; ale czy nie ma żadnej różnicy między zapisem na rzecz cudzą a twoją?...

JA: Żadnej. Oba są sprawiedliwe lub niesprawiedliwe, uczciwe albo nieuczciwe.

OJCIEC: Skoro prawo nakazuje po śmierci sporządzanie inwentarza i odczytanie wszystkich papierów, bez wyjątku, ma w tym zapewne swoje pobudki; jakież są one?

JA: Gdybym był zjadliwy, odpowiedziałbym: obedrzeć spadkobierców, mnożąc koszt sądowe; ale pomyśl, ojczu, że ty nie byłeś tam jako urzędnik; że wyzwolony od wszelkiej formy³⁵ prawnej, nie miałeś do spełnienia innej funkcji prócz naturalnej dobroczynności i sprawiedliwości.

Siostra milczała, ale ścisła mi rękę na znak uznania. Ksiądz kręcił głową, ojciec zaś powiedział:

— A teraz jeszcze jeden kamyk do ogródka ojca Bouin. Sądziś przynajmniej, iż religia mnie rozgrzesza?

JA: Tak sądzę; ale to nie przynosi jej zaszczytu.

OJCIEC: Ten akt, który ty palisz mocą osobistej powagi, czy sądziś, iż byłby uznany za prawomocny przed trybunałem?

JA: Może; ale to nie przynosi zaszczytu prawu.

OJCIEC: Mniemasz, iż byłoby ono pominęło wszystkie okoliczności, które ty podkreślasz z taką siłą?

JA: Nie mam pojęcia, ale byłbym pragnął wyjaśnić to do gruntu. Poświęciłbym jaki pięćdziesiątek ludwików³⁶; byłaby to dobrze umieszczona dobroczynność: zaskarżyłbym testament w imieniu tych nędzarzy.

OJCIEC: Och, co do tego, gdybyś był przy mnie i udzielił mi tej rady, to mimo iż w początkach rzemiosła pięćdziesiąt ludwików stanowi poważną sumę, można się założyć, że byłbym usłuchał.

KSIĄDZ: Co do mnie, wołałbym oddać te pieniądze wydziedziczonym biedakom niż adwokatom i sędziom.

JA: Myślisz więc, bracie, że proces byłby przegrany?

KSIĄDZ: Nie wątpię. Sędziowie trzymają się ściśle prawa, jak ojciec i ksiądz Bouin; i dobrze czynią. Sędziowie zamykają w podobnym wypadku oczy na okoliczności, jak ojciec i ksiądz Bouin, z obawy przed niebezpieczeństwami, jakie by stąd wynikły; i dobrze czynią. Poświęcają niekiedy, wbrew świadectwu nawet własnego sumienia, jak ojciec i ksiądz Bouin, dobro nieszczęśliwego i niewinnego, nie mogliby go bowiem ratować, nie popuszczając cugli niezliczonej mnogości łajdaków; i dobrze czynią. Obawiają się, jak ojciec i ksiądz Bouin, wydać wyrok sprawiedliwy w danym wypadku, ale zgubny w tysiącu innych przez mnogość nadużyć, którym otworzyłyby drzwi; i dobrze czynią. W sprawie zaś testamentu, o który chodzi....

OJCIEC: Twoje argumenty dałyby się może utrzymać prywatnie, ale nigdy publicznie. Niejeden wolnomyślny adwokat, który powiedziałby mi w cztery oczy: „Niech pan spali testament”, nie odważyłby się udzielić tej rady na piśmie w formie prawnej.

JA: Rozumiem; była to sprawa nienadająca się, aby ją wytaczać przed sędziów. Toteż, do kroćset, nie doszłoby do tego, ojczu, gdybym ja był na twoim miejscu.

OJCIEC: Byłbyś przełożył swój rozum nad rozum publiczny; wyrok człowieka nad wyrok prawnika.

³⁵forma — tu: formalność. [przypis edytorski]

³⁶ludwik a. *luidor* (fr. *Louis d'or*: złoty Ludwik) — złota moneta francuska z podobizną króla, bita w latach 1640–1791, mająca wartość 8 talarów (*écu*). [przypis edytorski]

JA: Z pewnością. Czyż człowiek nie jest dawniejszy od prawnika? Czy rozum rodzaju ludzkiego nie jest o wiele świętszy niż rozum prawodawcy? Nazywamy się cywilizowanymi, a gorsi jesteśmy od dzikich. Zdaje się, że trzeba nam jeszcze brnąć wieki całe z szaleństwa w szaleństwo, z niedorzeczności w niedorzeczność, nim dojdziemy tam, gdzie elementarna iskierka rozsądku, instynkt, zawiodłyby nas zupełnie prosto. Toteż zbłąkaliśmy się tak dokładnie...

OJCIEC: Synu, synu, dobra to poduszka rozum, ale zdaje mi się, że głowa jeszcze spokojniej odpoczywa na poduszce religii i praw; i skończmy dyskusję, nie mam bowiem ochoty spędzić bezsennej nocy. Ale zdaje mi, żeś ty się coś nadąsał. Powiedz tedy, gdybym spalił testament, czy byłbyś mi przeszkodził w restytucji?

JA: Nie, ojcze; twój spokój jest mi nieco droższy niż wszystkie majątki świata.

OJCIEC: Odpowiedź twoja cieszy mnie, a to dla pewnej przyczyny.

JA: Powiesz nam ją, ojcze?

OJCIEC: Chętnie. Kanonik Vigneron, twój wuj, był to człek twardy, żyjący na złej stopie z kolegami, których życiem swoim i mową stawiał ustawicznie pod pręgierzem. Byłeś przeznaczony na jego następcę, ale w chwili gdy miał umierać, postanowiono w rodzinie, iż lepiej odwołać się do Stolicy Apostolskiej w Rzymie niż składać na ręce kapituły rezygnację, której by nie przyjęto. Kurier rusza. Wuj umiera na godzinę lub dwie przed domniemanym przybyciem kuriera i oto kanonia³⁷ oraz tysiąc osiemset franków stracone. Matka twoja, ciotki, krewni, przyjaciele, byli wszyscy zdania, aby ukryć śmierć kanonika. Odrzuciłem tę radę; kazałem natychmiast uderzyć w dzwony.

JA: I dobrześ uczynił, ojcze.

OJCIEC: Gdybym usłuchał poczciwych kumoszek i gdybym miał później wyrzuty, widzę, iż nie byłbyś się zawahał poświęcić mi swego łańcucha.

JA: I bez tego. Wołałbym raczej być dobrym filozofem lub niczym niż złym kanonikiem.

Gruby przeor wtoczył się do pokoju i rzekł, dosłyszawszy ostatnich słów:

— Złym kanonikiem! Rad bym wiedzieć, w jaki sposób można być dobrym albo złym przeorem, dobrym albo złym kanonikiem; to są sprawy tak obojętne!

Ojciec wzruszył ramionami i wyszedł dla dopełnienia jakichś nabożnych obowiązków. Przeor rzekł:

— Zgorszyłem trochę papusia³⁸.

BRAT: Możliwe.

Po czym, wyjmując z kieszeni książkę, rzekł:

— Muszę wam odczytać kilka stron z opisu Sycylii przez ojca Labat³⁹.

JA: Znam. To historia *calzolaio*⁴⁰ z Mesyny.

BRAT: Właśnie.

PRZEOR: I cóż on robił, ten *calzolaio*?

BRAT: Historyk opowiada, iż będąc z natury zacnym człowiekiem, przyjacielem porządku i sprawiedliwości, wiele cierpiał, przebywając w kraju, gdzie prawa nie tylko nie miały mocy, ale nie znajdowały nawet zrozumienia. Każdy dzień znaczył się jakąś zbrodnią. Powszechnie znani mordercy przechadzali się z podniesioną głową i urągali publicznemu oburzeniu. Rodzice biadali nad córkami uwiedzionymi i wtrąconymi przez okrucieństwo rabusiów z hańby w nędzę. Monopol wydzierał pracowitemu człowiekowi jego dobytek; wszelakiego rodzaju łupieżstwa wyciskały gorzkie łzy uciśnionym obywatelom. Winni umykali się karze albo przez swoje wpływy, albo przez przekupstwo, albo przez obejście form. *Calzolaio* widział to wszystko; serce mu się krwawiło; dumał bez przerwy na swym zydelku⁴¹ nad sposobem położenia kresu zamętowi.

PRZEOR: Cóż mógł wskórać, taki biedaczyna!

BRAT: Zobaczysz ksiądz. Jednego dnia ustanowił w swoim sklepieniu trybunał.

PRZEOR: A to jak?

³⁷kanonia — urząd kanonika. [przypis edytorski]

³⁸papusz — zdrobn. od *papa* (fr.): ojciec. [przypis edytorski]

³⁹Labat, *Jean-Baptiste* (1663–1738) — francuski duchowny, podróżnik, botanik i etnograf. [przypis edytorski]

⁴⁰*calzolaio* (wl.) — szewc. [przypis tłumacza]

⁴¹zydel — prosty, drewniany stołek. [przypis edytorski]

JA: Przeor chce, aby machnąć opowiadanie, jak on macha swoją jutrznię⁴².

PRZEOR: Czemu nie? Sztuka krasomówcza zaleca, aby opowiadanie było zwięzłe, Ewangelia zaś, aby modlitwa była krótka.

BRAT: Na wieść o jakiejś okrutnej zbrodni wywiadywał się o nią; przeprowadzał u siebie w domu ściśle i tajemne śledztwo. Dopelnivszy podwójnej funkcji oskarżyciela i sędziego, ukończywszy proces kryminalny i wydawszy wyrok, wychodził z rusznicą⁴³ pod płaszczem; i w dzień, jeżeli spotkał zbrodniarza w ustronnym miejscu, lub też w nocy, w czasie ich wypraw, kropił do nich z garlaczem⁴⁴, celując, jak mógł najlepiej.

PRZEOR: Boję się, że ten zacny człowiek skończył na szubienicy. Bardzo mi to przykro.

BRAT: Po egzekucji zostawiał trupa na miejscu, nie zbliżając się doń, i wracał do domu, zadowolony jak ktoś, kto zabił wściekłego psa.

PRZEOR: I dużo zabił takich psów?

BRAT: Liczono ich więcej niż pięćdziesięciu, wszystko osoby wyższego stanu. Wówczas wicekról przyrzekł dwa tysiące talarów⁴⁵ temu, kto wyda zabójcę, i przysiągł w obliczu ołtarza, iż przebaczy winnemu, o ile się oskarży sam.

PRZEOR: Nie ma głupich!

BRAT: W obawie, aby podejrzenie i kara nie padły na niewinnego...

PRZEOR: Oddał się w ręce wicekróla!

BRAT: Przemówił w te słowa: „Spełniłem, panie, twój obowiązek. To ja skazałem i wydałem na śmierć zbrodniarzy, których ty powinienes być ukarać. Oto protokoły, stwierdzające ich zbrodnie. Ujrzysz w nich metodę postępowania sądowego, którego się trzymałem. Miałem pokusę, aby zacząć od ciebie, ale szanowałem w twej osobie dostojnego monarchę, którego przedstawiasz. Życie moje w twoich rękach, możesz nim rozrządzać”.

PRZEOR: Co też się stało.

BRAT: Nie wiem; ale wiem, że przy całym tym pięknym zapale ów człowiek był tylko mordercą.

PRZEOR: Morderca! Ostre słowo: jakież inne można by mu dać miano, gdyby zabijał uczciwych ludzi?

JA: Szaleństwo!

SIOSTRA: Byłoby pożądane, aby...

BRAT do mnie: Jesteś monarchą: przedłożono ci sprawę do rozstrzygnięcia; jakże wypadnie?

JA: Księżę, zastawiasz mi pułapkę; dam się w nią chwycić. Skazałbym wicekróla, aby zajął miejsce szewca, a szewca, by zajął miejsce wicekróla.

SIOSTRA: Bardzo dobrze, bracie.

Ojciec ukazał się z powrotem z ową pogodną twarzą, jaką zawsze miał po modlitwie. Opowiedziano mu sprawę i potwierdził wyrok księdza. Siostra dodała:

— I oto pozbawiono Mesynę jeżeli nie jedynego sprawiedliwego człowieka, to przynajmniej jedynego dzielnego obywatela, który się tam znalazł. Martwi mnie to.

Dano do stołu; obecni sprzeczali się trochę ze mną; żartowali silnie z przeora, z jego sądu w sprawie kapelusznika i skromnej opinii, jaką ma o przeorach i kanonikach. Przedłożono mu kwestię testamentu; zamiast ją rozstrzygnąć, opowiedział nam wydarzenie z własnego życia.

PRZEOR: Przypominacie sobie olbrzymie bankructwo bankiera Bourmont?

OJCIEC: Czy sobie przypominam? I mnie szarpnęło ono trochę.

PRZEOR: Tym lepiej!

OJCIEC: Czemu?

⁴²jutrznia (rel.) — pierwsza z siedmiu codziennych modlitw katolickiej liturgii godzin, obowiązkowych dla osób ze święceniami duchownymi, odmawiana rano, pierwotnie o świcie. [przypis edytorski]

⁴³rusznica — dawna ręczna broń palna o długiej lufie. [przypis edytorski]

⁴⁴garlacz — dawna broń palna z charakterystycznym rozszerzeniem wylotu lufy, rodzaj krótkiej strzelby, używanej gł. w XVI–XVIII w. [przypis edytorski]

⁴⁵talara — dawna duża srebrna moneta o stosunkowo dużej wartości; w oryginale: *écu*, francuski odpowiednik talara, równy trzem liwrom. [przypis edytorski]

PRZEOR: Temu, iż jeśli źle uczyniłem, większą będę miał ulgę w sumieniu. Zamiano- wano mnie syndykiem⁴⁶ wierzycieli. Znalazł się między czynnymi walorami Bourmonta oblig⁴⁷ na sto talarów⁴⁸, wystawiony przez biednego kupca w sąsiedztwie. Oblig ten, po- dzielony między wierzycieli, nie dawał ani dwunastu su⁴⁹ na głowę; ściągnięty zaś z nie- boraka, wtrąciłby go w ruinę. Przypuściłem...

OJCIEC: Iż każdy wierzyciel z osobna nie odmówiłby dwunastu su na rzecz nędzarza; podarłeś ksiądz weksel i uczyniłeś jałmużnę z mojej sakiewki.

PRZEOR: W istocie. Gniewa się pan?

OJCIEC: Nie.

PRZEOR: Niechże pan zechce uwierzyć, że inni również by się nie gniewali; i rzecz załatwiona.

OJCIEC: Ale, księżu przeorze, jeżeli drzesz mocą własnej powagi jeden weksel, czemu nie podrzesz dwóch, trzech, czterech; tyle ilu zapragniesz wspomóc biedaków cudzym kosztem? Ta zasada miłosierdzia może daleko zaprowadzić, księżu przeorze; sprawiedli- wość, sprawiedliwość...

PRZEOR: Już to powiedziano nieraz: jest często wielką niesprawiedliwością.

Młoda osoba, która mieszkała na pierwszym piętrze, zeszła w tej chwili; istne wcielenie wesołości i pustoty. Ojciec spytał, czy ma nowiny o mężu: ów mąż był to ladaco, który dał żonie przykład złych obyczajów (o ile mi się zdaje, poszła po trosze za tym przykładem) i który, aby uniknąć pościgu wierzycieli, drapnął na Martynikę⁵⁰. Pani d'Isigny — to nazwisko naszej lokatorki — odparła:

— Mąż? Bogu chwała, nie słyszę już o nim; może utonął.

PRZEOR: Utonął! Winszuję pani.

PANI D'ISIGNY: Cóż panu na tym zależy, księżu przeorze?

PRZEOR: Mnie nic, ale pani?

PANI D'ISIGNY: A co mnie?

PRZEOR: Hm, powiadają...

PANI D'ISIGNY: Cóż powiadają?

PRZEOR: Skoro pani chce wiedzieć, powiadają, że on przejął jakieś pani listy.

PANI D'ISIGNY: Ba, czyż ja nie miałam w zamian ładnej kolekcji jego listów?

Na to wszczęła się nad wyraz zabawna kłótnia między przeorem a panią d'Isigny o przywileje obu płci. Pani d'Isigny wezwała mnie na pomoc; miałem właśnie dowieść przeorowi, że pierwsze z małżonków, które naruszy umowę, wraca wolność drugiej stro- nie; ale ojciec poprosił o krymkę⁵¹, przerwał rozmowę i wyprawił nas spać. Skoro na mnie przyszła kolej życzyć mu dobrej nocy, ściskając go, rzekłem mu do ucha:

— Doprawdy, ojczu, zdaje mi się, że nie ma praw dla mądrego człowieka.

— Mów ciszej...

— Skoro wszystkie podlegają wyjątkom, do niego należy osądzić, w którym wypadku winien się poddać im lub nie.

— Nie gniewałbym się — odparł ojciec — gdyby był w mieście jeden albo dwóch takich jak ty obywateli; ale nie chciałbym w nim mieszkać, gdyby wszyscy myśleli tak samo.

Prawo, Sprawiedliwość

⁴⁶*syndyk* — osoba wyznaczona przez sąd do zarządzania majątkiem osoby lub firmy, która ogłosiła upadłość, i dokonywania podziału funduszy między wierzycieli. [przypis edytorski]

⁴⁷*oblig* (daw.) — zobowiązanie; tu: weksel, dokument stanowiący pisemne zobowiązanie wystawcy do za- płacenia określonej osobie określonej sumy w oznaczonym terminie; używany m.in. jako zabezpieczenie zobo- wiązań pieniężnych. [przypis edytorski]

⁴⁸*talár* — dawna duża srebrna moneta o stosunkowo dużej wartości; w oryginale: *écu*, francuski odpowiednik talara, równy trzem liwrom. [przypis edytorski]

⁴⁹*su*, właśc. *sou* — dawna drobna moneta francuska, warta 1/20 liwra (franka). [przypis edytorski]

⁵⁰*Martynika* — wyspa w archipelagu Małych Antyli, między Morzem Karaibskim a otwartym Oceanem Atlantyckim; dawniej posiadłość kolonialna Francji, ob. jej departament zamorski. [przypis edytorski]

⁵¹*krymka* — przylegająca do głowy czapeczka bez daszka, często ozdobiona haftem; typowa część stroju Tatarów krymskich, stąd nazwa. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/diderot-rozmowa-ojca-z-dziecmi>

Tekst opracowany na podstawie: Denis Diderot, *To nie bajka*, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński, wyd. M. Arct, Biblioteka Boy'a, Warszawa [1931]

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja wydana w ramach biblioteki Wolne Lektury (wolnelektury.pl).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Wojciech Kotwica.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.